



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60,
kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
Ekspedycyja główna w księgarni wydawcy
Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1
sgr. 20.

ZADANIA MORALNE

skreślił

Bolesław Chlebowski.

III. Stanowisko moralne kobiety ¹⁾.

Znany powszechnie wiersz Krasickiego o władzy kobiet zawdzięcza swą przysłowiową niemal popularność temu, iż, podobnie jak każde przysłowie, streszcza w dosadnej a zwięzłej formie prawdę widoczną, dla nikogo nie wątpliwą. Choć więc ks. biskup Warmiński miał na myśli jedynie dwór królewski i wyższe sfery ówczesnego społeczeństwa, gdzie władzę swoją zawdzięczała kobieta nie tyle moralnej i umysłowej przewadze, ile lekkomyślnym obyczajom wyższego towarzystwa ²⁾, jednakże w owem na pół żartobliwym zdaniu, mieści się poważna i wiecznotrwała prawda. Prawdą tą jest moralny wpływ kobiety na mężczyznę, a przez to i na świat cały, którego ten ostatni stał się władcą. W istocie, mężczyzna bystrością swego rozumu, energią woli, siłą fizyczną wreszcie zawładnął nad potęgami przyrody, skierował je dla swych potrzeb i przoduje rozwojowi ludzkości, wskazując jego cel i gromadząc potrzebne środki. W tem wszystkim kobieta nie brała dotąd udziału bezpośredniego, i przyszłość dopiero może przeko-

nać, czy nowej roli, jakiej się domaga, — a mianowicie uczestnictwa w rządzeniu światem, — odpowiedzą jej siły i zdolności. Dotąd bowiem kobieta, jak królowa w państwie konstytucyjnym, panuje, lecz nie rządzi, i bezwątpienia jestto najpiękniejsze i najodpowiedniejsze dla niej stanowisko.

Mężczyzna, skazany na bezustanną walkę z naturą, ludźmi, instytucjami, zasadami; zdobywający z ciężkim móżdżem zarówno chleb powszedni i stanowisko, jak wiedzę i zasady moralne, — szuka nagrody i pocieszenia w sercu kobiety, w której pragnie i spodziewa się znaleźć choć częściowe odbicie ideału, jakiego nie znajduje w życiu. Mając do czynienia z zawistnymi lub obojętnymi, z rywalami lub szczęśliwymi tryumfatorami, pragnie widzieć w kobiecie anioła, przy którymby mógł zapomnieć o zwierzęcości walk życiowych, pragnie w niej spotkać uosobioną dobroć i prawdę, tak pożądaną w tej atmosferze kłamstwa i poziomych namietności, rozciągającej się nad siedzibami ludzkiemi. Czy zawsze i wszędzie kobieta odpowiadała powyższymi oczekiwaniom i wymaganiami? — nad tem nie będziemy się zastanawiać. Zarówno dzieje, jak literatura, sztuka i życie codzienne wreszcie, dostarczają niezliczonych dowodów i przykładów świadczących, iż kobieta, ilekroć spełnia swe posłannictwo, ilekroć poprzestaje na roli królowej, która więcej panuje niż rządzi, tylekroć wpływem swoim sprowadza najpożądane i najdonioślejsze rezultaty.

Cała tajemnica tego wpływu mieści się w sercu, w tej wszechpotężnej a niewytłomaczonej sile uczucia, obalającej wszelkie przeszkody, zastępującej w potrzebie wszelkie inne władze duszy ludzkiej, potęgującej wiedzę aż do stopnia jasnowidzenia, a wolę do wysokości wszechmocności niemal.

Kobieta jest tak samo jak i mężczyzna członkiem społeczeństwa, tylko jej obowiązki, a więc i ściśle z niemi związane prawa, są całkiem innego rodzaju. Głównem jej zadaniem jest utrzymywanie spójności społeczeństwa, które rozpadłoby się niechy-

bnie wśród walki samolubnych jednostkowych dążeń, posługujących się dla celów swoich wszelkimi możliwymi środkami. Jedynym hamulcem jest tu węzeł miłości, łączący obie płcie w koło rodziny, tego nieodzownego czynnika zjednoczenia społecznego ludzi. Rodzina, pierwsze ognisko kultury i cywilizacji, nie straci nigdy swego moralnego i społecznego znaczenia, choć bowiem dawno już przestała być jedynym kołem zespolonego życia, stanowi zawsze przecież najniezbędniejszą i najpierwszą z form tego życia, a rola strażniczki domowego ogniska, posłannictwo matki i żony jest najwyższem zadaniem kobiety.

Im szersze koło ludzi ogarnia pewna forma zespolenia, tem ogólniejszym i idealniejszym musi być jej cel ostateczny, a tem niższą i bardziej materialną, pierwszą pobudką zespolenia i węzeł podtrzymujących je interesów. Miłość spaja rodzinę węzłem fizycznej i duchowej wspólności; związek krwi, wspólne pożycie i przyjaźń wiąże pewną liczbę rodzin w koło rodu; tożsamość języka, wiary, obyczajów zbliża ze sobą rody, łącząc je w koło plemina; wreszcie potrzeba wzajemnej obrony przeciw zewnętrznym wrogom, wspólność materialnych interesów skupia kilka plemion w całość narodu.

Cała potęga kobiety leży w jej sercu, a serce to tylko w obrębie koła rodzinnego może wpływ odpowiedni wywierać. Pod osłoną świętości domowego ogniska, uwalnia się ona od tyranii prawa walki o byt, unika poziomych popędów i namietności, jakie ta walka budzi w mężczyźnie. Nie zużywając swych sił na ten ciężki bój, niedoznając zniechęcenia ku życiu, jakie on pozostawia we wrażliwszych duszach, może kobieta tem łatwiej i pomysłniej urzeczywistniać moralne wymagania, stać się choć w części wcieleniem ideału, za którym tęskni każdy, kto raz choć w życiu ujrzał jego blask. Mimo to dziś wielu kobietom udział w walce o byt, zamiast przedstawiać się jako smutna konieczność, ciążyąca na tych, którym losy nieszczęśliwe nie po-

¹⁾ Dwa pierwsze zarysy pod tytułem: *Zadania moralne*, mianowicie: *Cel życia* i *Zycie powszednie* mieszczą się w Nr 3—5 *Bluszczy* z r. b. (Prz. Red.).

²⁾ Dwuwiersz: *Pomimo wszystkiej płci naszej zalety, My rządźm światem, a nami kobiety*, — znajduje się w *Wojnie chocholskiej*. (Przyp. Red.).

zwalają zasiać przy własnym lub cudzym ognisku domowym, przybiera owszem cały powab zakazanego owocu, mającego otworzyć wstęp do rozkoszy życia, dostępnych dotąd samym mężczyznom. Znużone swem królowaniem, przekładają burzliwy niepokój życia społecznego nad ciszę domowego kółka. Ozuając się poniżonemi przez zamknięcie w szczupłym obrębie rodziny, pragną udowodnić swą samodzielność i uzdolnienie do szczerzej działalności, wstąpieniem w arenę życia i wzięciem udziału w jego trudach, bojach i uciesach. Na nie-szczęście, wielokrotne doświadczenie przekonało, iż ilekroć kobieta wchodziła się w wir życia publicznego i społecznego, nie jako posłanniczka pokoju i miłości, lecz jako towarzyszyca i współpracowniczka walczącego mężczyzny, tylekroć przewyższała go w upadku moralnym: anioł stawał się już nie zwierzęciem, ale szatanem. Nietylko roczniki sądowe, lecz i dzieje ważniejszych przewrotów społecznych, takiej naprzykład Konwencji lub ostatniej Komuny paryskiej, dostarczają obok przykładów najszczytniejszych poświęceń, ohydne obrazy zezwierzczenia, do jakiego dochodzi kobieta, gdy podziela wraz z mężczyzną namiętności i walki społeczne i polityczne.

Poza obrębem rodziny, kobieta o tyle spełnia swe posłannictwo, o ile stara się dostarczać do-brodziejstw życia rodzinnego tym, którzy ich zostali pozbawieni chwilowo lub na zawsze; o ile apostołstwo moralne, którego nie można dopełnić we własnym kole, przeprowadza śród tych, co nie mogli z niego korzystać. Dla należytego spełnienia tego posłannictwa serce samo nie wystarcza kobiecie; niedość bowiem kochać rodzinne otoczenie i ludzi—trzeba jeszcze rozumieć ich potrzeby i dążenia; niedość miłować dobro i prawdę—należy jeszcze pojmować ich istotę i warunki urzeczywistnienia. Mężczyzna najczęściej znajduje w życiu rodzinnem miłość nieoświeconą, a w świecie—zimną i cierpką naukę, jaką mu dają książki i doświadczenie. Rodzinne koło nie przygotowuje go dostatecznie do życia w świecie, a ciężko okupiona wiedza zraza znowu do otoczenia rodzinnego, któremu zawdzięcza tyle rozczarowań. W świecie nie znajduje tego, czego pragnie nawykłe do serdecznych wyłań uczucie; w kole rodzinnem znowu zbyt ciasno dla jego umysłu: wynika ztąd smutna rozterka wewnętrzna i zniechęcenie do życia, ubezwładniająca często najlepsze chęci i najpiękniejsze zdolności.

Pełniąc gorliwie swe obowiązki rodzinne, winna kobieta niemniej pilnie zajmować się życiem i sprawami społecznymi, iść za postępem nauki i sztuki,—słowem, uczestniczyć sercem i umysłem w pragnieniach i pracach całej ludzkości. Rodzina bowiem winna być żywotną cząstką organizmu społecznego,—podzielać jego trudy i wspierać gorliwie dążenia; winna pamiętać, iż celem jej ostatecznym jest dostarczanie społeczeństwu czynnych i użytecznych członków, kształcenie nietylko dobrych synów i mężów, lecz prawdziwych obywateli kraju i prawdziwych ludzi, którym nie ludzkiego nie jest obojętnem.

Błędy i niepowodzenia, jakie przytrafiają się ludzkości w jej wielkiej zbiorowej pracy, nad rozwiązaniem zagadki życia i urzeczywistnieniem idealnych pragnień, których źródłem jest niepojęta i nieujęta głębia naszego ducha—odbierają wielu jednostkom wiarę w ostateczny tryumf ludzkich usiłowań i zobojętniają dla tego wielkiego dzieła. Z niewiary rodzi się pesymizm, smutna filozofia dusz miłujących dobro bez nadziei jego urzeczywistnienia; z obojętności powstaje bezduszna apatia lub poziomy materyalizm. Człowiek zawsze i wszędzie—o ile tylko fantazyja lub uczucie nie wygórowało w nim zbyt nad innymi władzami duszy,—zawsze i wszędzie przywiązuje wielkie znaczenie do faktu i ufa jedynie zasadzie stwierdzonej doświadczeniem. Najwznioślejsze pomysły filozofów i poetów, choć budziły w nim podziw i uwielbienie, nie przeniknęły przecież do głębi istoty tak silnie, by według nich zechciał urządzić swe życie i czyny; gdy jednak przemówił doń słowem i czynem zarazem, nie żaden mędrzec, nie poeta, lecz prostak, silny jedynie swą wiarą, wymowny siłą własnego uczucia,—dusze, zamknięte dla genialnych myślicieli i poetów, otwierały się na przyjęcie jego prostej nauki. Dzieje wszystkich religij

i wszystkich sekt religijnych dostarczają nam niezliczonych na to przykładów.

Kto się nasłucha i naczyta tysięcy, naj-sprzeczniejszych z sobą rozumowań i wywodów, ten przestaje przywiązywać wagę do myśli wypowiedzianych słowami, a patrzy tylko na fakta i faktyczne dowody. W sercu i czynach szukamy najchętniej criterium prawdy, tem chętniej i skwapliwiej wierzymy cudzym rozumowaniom, im silniej w nie wierzy, im goręcej je miłuje sam wygłaszający. Życie, a nade wszystko walka o byt, w której kłamstwo stanowi dziś najpowszechniejszą i najpotężniejszą broń, usposabia ludzi do sceptycyzmu i pozytywizmu, skutkiem czego wszelkie moralizowania drażnią najczęściej lub nudzą bardziej oświeconych, a dla prostaków są całkiem niezrozumiałymi.

Rozum nasz przyjmuje wtedy tylko pewną prawdę, gdy ta jest nietylko logicznie wyprowadzona i sformułowana, lecz stwierdzona zarazem rachunkiem lub doświadczeniem; prawda moralna również wtedy trafia do umysłu i serca naszego, gdy obok logicznego udowodnienia widzimy stwierdzenie jej praktyczne w czynach, zarówno tego, który ją wygłasza, jak i innych ludzi. Dziecko, skoro tylko zaczyna żyć umysłowo, stara się wiernie naśladować postępowanie otaczających je osób—słowa same nie czynią na niem wrażenia żadnego, jeżeli przykład ich nie stwierdza. Zasad moralnych ono nie pojmuje, lecz umie wcześniej odróżniać złe od dobrego, czyny moralne od niemoralnych. Jak w dzieciństwie nie możemy zrozumieć, tak w późniejszych latach nie lubimy słuchać głosów wywodów moralnych. Poczucie osobistej godności i samoistości nie dopuszcza wtrącania się w sprawy sumienia naszego dotyczące i budzi w nas usprawiedliwione po części oburzenie, gdy nauczający nie stwierdza własnym postępowaniem prawdy swych słów.

Kobieta przeto, której umysł tak rzadko bywa uzdolnionym do ściśle logicznego rozumowania, powinna cały swój wpływ moralny zasadzać naprzód na swych czynach, następnie na sile i czystości własnego uczucia, najmniej zaś na potędze rozumowania i wymowy. Obfitość i łatwość wy-słowienia, tak pospolite u kobiet, nie dowodzą koniecznie bogactwa myśli. Podstawą dowodzenia u wielomównych kobiet bywa najczęściej jakaś przypadkowa niekrytycznie przyjęta myśl, która, zakorzeniwszy się w duszy zyskuje gorące poparcie uczucia, stanowiącego całe źródło siły i obfitości wymowy kobiecej. W stosunkach towarzyskich wdzięk słów z serca płynących sprawia, iż wielomówność bywa nieraz przyjemną i pożądaną. Gdy jednakże chodzi o wpływ moralny, o stosunki życia rodzinnego, pobłażliwość ta wydarzać się nie powinna. Powierzchnowe lub błędne rozumowanie w rzeczach dotyczących się religii i moralności, wywołuje skutki wprost przeciwne zamiarom, osłabia bowiem wiarę i uczucia moralne tych, których chcemy nauczać i uzacniać. W każdym razie wielość słów zmniejsza wpływ moralny zasady przez nas wygłaszanej. Jedno słowo wodza, poparte przykładem elektryzuje i zapala męstwem całą armię, gdy tymczasem najlogiczniejsze i najwymowniejsze rozumowanie o obowiązkach żołnierza nie wywarłoby najmniejszego skutku. W stosunkach rodzinnych jedno słowo, giest, spojrzenie, mileczenie samo nawet więcej mówi niż najdłuższe napomnienia i wyrzuty. Nauki moralne drażnią tylko i zwiększają złe. Przykład sam tylko zawstydzia i zachęca, uczy i poprawia zarazem.

Drugą przeszkodą tamującą skuteczność moralnego wpływu kobiety jest właściwa jej lekkomyślność w sądach i czynach. Zowiemy lekkomyślnym człowieka, który nie stara się uchwycić w danem położeniu istoty rzeczy, lecz sądzi o sprawach i osobach na podstawie tego, co mu podpada pod oczy, działa zaś z pobudek przypadkowych najczęściej bez wyboru środków odpowiednich i rozważenia następstw swoich czynów. Z ubioru, z chwilowej rozmowy, z doznanej przysługi lub niegrzeczności, z fizjognomii, z kilku słów przypadkowo wyrzeczonych, sądzi poehopnie o charakterze, zdolnościach i przymiotach innych ludzi. Znaczna większość kobiet sądzi o ludziach z pozorów, w jakich oni bądź umyślnie usiłują się przedstawić, bądź przypadkowo tylko się przedstawiają, w czynach zaś

kieruje się popędami nieujętego w karby rozumu i nieoczyszczonego moralnie uczucia, w którego zmienności i zboczeniach leży źródło niekonsekwencji i niestałości, cechującej tak często charakter kobiecy. Łatwości jest nieuniknionym wynikiem lekkomyślności. Kto tylko wiele o swej wiedzy rozprawia, ten w opinii lekkomyślnej kobiety zostaje uczonym; złośliwie obgadujący bliżnich staje się dowcipnym; zachowujący formy salo-nowe musi być dobrze wychowanym; chełpiący się ze swych dostatków lub wpływów wyrasta w jej oczach na bogacza lub dygnitarza. Kto nie sprawdza podstaw swych pojęć i sądów, ten wierzy wszystkiemu, co mu pod oczy lub pod uszy podpada; kto nie umie logicznie myśleć, ten najcudaczniejsze kombinacje wyprowadzi z prawdziwych czy fałszywych danych. Czyn każdy tymczasem wtedy dopiero staje się moralnym, gdy jest świadomie spełnionym; gdy, pełniąc go, wiemy, z jakich pobudek i w jakim celu działamy. Uczucia moralne znajdujemy u większej części zwierząt, lecz świadomie moralne czyny są wyłącznym udziałem człowieka. Zapewne, że instynkt serca, którym słusznie szczyści się kobieta, uzdalnia ją do większych szczytniejszych czynów i poświęceń niż chłodny głos obowiązku, lecz pamiętajmy, że miłość macierzyńska uzdalnia i zwierzęta do równie wielkich i bohaterkich czynów, że tylko zespolenie się z moralną ideą nadać może czynom kobiety moralne i prawdziwie ludzkie piętno.

Jeżeli uczucie staje się wyłączną sprężyną i źródłem czynów, to zwykle traci ono swą instynktową nieomyślność i ulega chorobliwemu zboczeniu, znanemu pod mianem egzaltacji. W stanie takim kobieta utracą wszelką miarę, wszelką rozumną skalę do oceny własnego stanowiska i obowiązków; nie umie pochwycić należytego stosunku między celem a środkami. Najmniej znacząca okoliczność wywołuje w niej wysoki stopień współuczucia, wyrażającego się w czynach zupełnie niepotrzebnych i nieodpowiednich pobudek. O ile pożądanem jest dla cierpiącego prawdziwe współczucie, o tyle taka przesadna i natrętna czułość wstręt tylko obudza i staje się przykrejszą od lodowatej obojętności.

To chorobliwe zboczenie uczucia spotykamy najczęściej u kobiet, którym albo nie dostało w udziale stanowisko strażniczki domowego ogniska, albo też na tem stanowisku nie udało się spełnić swego posłannictwa.

Koło rodzinne nie czyni bynajmniej kobiety niewolnicą, nie tamuje jej udziału w życiu i dążeniach całej ludzkości; lecz udział ten musi być czysto duchowej natury. Iść za postępem nauki, rozwojem instytucji społecznych i politycznych, szukać rozkoszy estetycznych w sztuce, współczuć ze wszystkimi cierpieniami i radościami tak własnego społeczeństwa jak i całej ludzkości, pojmować wszystkie ważniejsze idee danej chwili i popierać ich urzeczywistnienie w kole rodzinnem, własnym przykładem, gorącym słowem, a dla dalszych kół i piórem: niemałe to, zaiste, pole do działania i walki nawet, lecz walki odpowiedniej naturze i siłom kobiety, walki duchowej jedynie, prowadzonej we właściwej sferze.

Siła i czystość uczucia—to najwyższy skarb i najpotężniejszy oręż kobiety; oręż ten jednak tępi się i kruszy łatwo, gdy go używamy w walce o byt, gdy zniewolona koniecznością lub zdjęta ciekawością kobieta porzuci domowe ognisko i puści się na burzliwe morze życia. Przez emancypację kobieta winna rozumieć przedewszystkiem wyswobodzenie duchowe nie materialne, zniesienie przeszkód tamujących światło tak niezbędne dla jej ducha, nie zaś wyłamanie drzwi, chroniących ją w domowym ostroniu od burz i walk życia.

Prawdziwa samoistość polegać może tylko na duchowym równouprawnieniu—różnic fizycznych bowiem nie zatrzeć nie zdoła; wspólność udziału w pracy nie pociąga wcale za sobą tożsamości zadania: ztąd równouprawnienie nie może być utożsamieniem z mężczyzną. Przeciwnie, rozdział pracy jest prawem tak fizycznym jak psychicznym i ekonomicznym zarazem. Harmonia wszechświata polega na jedności tkwiącej w nim myśli i na jedności ostatecznego celu.

Dobrze zrozumiana samodzielność moralna kobiety musi się zasadzać, nie na zaparciu się, lecz na

pełnem urzeczywistnieniu tego „wiecznie kobiecego” pierwiastku, który czyni ją prawdziwą królową dusz stęsknionych za ideałem i prawdziwym aniołem pocieszycielem zwątpiałych umysłów i serc zbolalych.

SĄSIEDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Płachciewicz, Franciszkanina porzuciwszy, wybiegł za Erazmem.

— Stancya dla pana przecież jest, tylko nie wiem czy oczyścili, a z końmi—to trzeba zobaczyć.

— Każ mi waćpan pokazać mieszkanie!—odparł sucho Erazm.

Obejście się trochę pańskie przybyłego zmieniło natychmiast usposobienie marszałka. Po chwili namysłu, nie poprowadził już gościa do izby na drugie piętro, uznawszy ją za zbyt lichą, i chwyciwszy klucze, otworzył mu ów pokój nieboszczyka pana, o którym mówiła Kasztelanowa.

Ten, choć także opuszczony i z główniejszych sprzętów ogołocony, zawsze daleko był wygodniejszym od lichej izby na drugim piętrze. Brakło i tu wiele, lecz Erazm umiał sobie dać radę. Pierwszemu odartemu slugusowi, którego spotkał w sieni, dał półtalara i kazał mu sobie przynieść na czem zbywało. O grosz gotowy było tu zawsze trudno, chłopak więc odrazu przystał na służbę do p. Erazma.

Konie postawiono w jakiejś komórce, do której miano wstawić koryto, a to obiecywało zastąpić żłób. O drabinę na siano nie było trudności.

Przekupiony chłopak dał znać p. Erazmowi, gdy na pokoje do Kasztelanowej pójść było można. Ta zawczasu już o przybyciu została uwiadomiona. Z powodu gościa, wdziała starą suknię adamaszkową czarną i nową peruczkę. Pani Ostrogradzka ubrała się też paradnie, panny Eulalia i Olimpia przywdziały świąteczne suknie. Wszystkie ciekawe były owego Hojskiego i złe na niego, bo im też był zawadą i niepotrzebnym okiem. Kasztelanowa zawczasu narzekała i niecierpliwiła się.

Dla honoru domu, szczególniej pierwszego dnia, musiała zarządzająca kuchnią, p. Ostrogradzka, pomyśleć o obiedzie, o którym nigdy nie wiedziała. Kasztelanowa nie uważała co jadła, czasami najadała się rzeczy niestrawnych i chorowała, niekiedy wstawiała głodna i musiała się podkarmiać chlebem lub kawą.

Codo obiadów, które miała dysponować Ostrogradzka,—te zwykle dyktował kuchmistrz z pomocą swych podręcznych. Jak tylko się w proggu ukazał ów urzędnik, Ostrogradzka zbywała go tem, że nie ma chwili czasu, bo ją już woła Kasztelanowa, dawała z apteczki kieliszek słodkiej wódki i wyprawiała.—Rób acan co chcesz! Kuchmistrz pytał, wróciwszy do kuchni, co tu jest w spiżarni, i zdawał dyspozycję na kucharza. Ostatecznie obiad się klecił przy pomocy stróży, tak, że jedząc go, kuchmistrz, dziwił mu się. Był dlań niespodzianką.

W czasie preparowania go, najeżęściej obaj oni z kucharzem grywali w chapankę.

Tego dnia jednak na niepewne spuścić się nie chciała p. Ostrogradzka, lecz kuchmistrz ją uprzedził i sam dopilnował, aby jedzenie było —po ludzku.

Pokoje pierwszego piętra, niegdyś pałacowo urządzone, miały wysokie stropy, gzemysy potrosze złoczone, ale szpalery spłowiały i popsute, sprzęty zużyte. Pan Erazm, przeszedłszy jedną pustą salę, znalazł się w mniejszym pokoju, dawniej zielonym zwanym, dziś barwy nieoznaczonej. W pośrodku jego, w towarzystwie panny Olimpii, czekała nań słusznego wzrostu, chuda, śmiesznie i niestarannie ubrana kobieta, pańskiej postawy, z twarzą której

bielidło, róż i muszki pokryć nie mogły kwaśnego humoru.

Stryjenka zapewne wyobrażała sobie, że w tym gościu ze wsi znajdzie niezgrabnego, zadomowionego chłopaka, któremu jej pałac i państwo resztę śmiałości odejmą.

Gdy wesoło i rażno wszedł p. Erazm, piękny, młody, zręczny, obracający się swobodnie, Kasztelanowa w pierwszej chwili zdumienia swego ukryć nie umiała. Gotowała się go przywitać zimno, lecz widok ślicznego chłopaka, który jej może lepsze przypomniał czasy, wnet pomarszczone lice rozchmurzył.

— Ojciec mój—rzekł całując ją w suchą, kościastą rączkę Hojski — upada do nówek stryjenki do brodziejki—i przysyła mnie tu na jej rozkazy.

Podał list, którego zmieszana jejmość nie rozpieczętowała.

— Miło mi tu waćpana powitać—rzekła.

To mówiąc, wciąż mu się przypatrywała pilno, a p. Olimpia też ciekawemi oczyma go mierzyła.

— Nie wiem, czy waćpanu u mnie się podoba—odezwiała się Kasztelanowa — bo też życie w tem Wilnie utrapione, a ja nieszczęśliwa wdowa obarczona, skłopotana.

— O! mnie wszędzie dobrze! — rozśmiał się pan Erazm—niech się stryjenka do brodziejki nie kłopotuje o mnie. Dam sobie rady.

Nadeszła w tej chwili p. Ostrogradzka, prowadząc z sobą p. Eulalię, a ta czwórka kobiet podstarzałych, wyfiokowanych, ciekawych, przesywających go wejrzeniami, choć chwilowo niemile wrażenie zrobiła na Hojskim, umiał tego po sobie nie okazać.

Zaczęły się pytania o Strukezaszyca, o wieś, o różne sprawy potoczne; lecz zaledwie słuchając odpowiedzi, jejmość przerywała je ciągle utyskiwaniem na swe życie, prace i kłopoty. — Trzy towarzyski potakiwały różnemi głosami: p. Ostrogradzka chrypliwie, p. Eulalia jęklawie, p. Olimpia piskliwie.

Dano znać do stołu. W sali jadalnej czekał już Płachciewicz, ks. Augustyn Franciszkanin, przyjaciel jego, którego zapraszał często, i niejaki Węgrzynowski, liczący się za prawnika, dopilnowującego interesów Kasztelanowej. Czerwona jego twarz i ogromny purpurowy nos, świadczyły, że służył razem i Bachusowi.—Poza p. Ostrogradzką dostało się miejsce p. Erazmowi, z którym zaraz siadł Węgrzynowski.

Wszystkich oczy i wyteżona uwaga zwróciły się na natręta, na owego szpiega, którego marszałek wykurzyć obiecywał. Erazm miał już tyle praktyki świata, nabytej w Lublinie, iż go nie zmieszać nie mogło. A w im kłopotliwszem znajdował się położeniu, tem mocniej miną nadrabiał.

Wszyscy, wpatrzywszy się w niego, nabrali tego przekonania, iż wykurzenie będzie trudne, a gość może być niebezpiecznym. Kasztelanowa bowiem, która otwarcie wprzódy się z tem oświadczała, że go z góry będzie traktować, obchodziła się teraz z nim, nietylko grzecznie, ale z wielką słodyczą i atencyami. Erazm był to winien bodaj swej powierzchowności sympatycznej i wdziękowi młodości.

Wszystkie trzy towarzyski Kasztelanowej w duchu przyznawały, że—chłopiec był śliczny. Z płachciewiczem nieprzyjemnie się już spotkawszy, pan Erazm zdawał mu się tego teraz wcale nie pamiętać.

W rozmowie ani zbyt rozwlekły, ni natarczywy, odzywał się zręcznie i szczególniej stryjenki obudził sympatyą, gdy się okazało, że pięknie mówi po francuzku.

To go zaraz i w oczach innych osób podniosło. Wszyscy czuli, że się zawiedli, inaczej wcale wystawiając sobie syna p. Strukezaszyca. Twarze się oblokły smutkiem i zadumą.

Po obiedzie, niechcąc być natrętnym, pożegnał się zaraz Hojski, prosząc tylko pani domu o rozkazy, jeżeliby w istocie jej mógł być w czem pomocnym. Kasztelanowa się uśmiechnęła nadzwyczaj dobroliwie, i odprowadziła go do okna.

— Acan mi się bardzo podobałeś—odezwiała się bez ogródki, bo, choć w oczy mu to powiem, pięknie się prezentujesz i kawaler jesteś, widać, światowy. Więc będę z nim szczerą, a proszę nawzajem być zemną otwartym. Cóżes to tam asindziej

zrobił, że ojciec cię ze wsi chciał się pozbyć? To już pewnie amory jakieś, przyznaj—że mi się! Ja nie wydam i nie zaszkodzę.

Zaczerwienił się p. Erazm, nie myślał wcale przyznawać się do niczego przed stryjenką, i rzecz tę lekko obrócił.

— Słowo stryjence do brodziejki dają, że nie wiem dlaczego mnie ojciec wyprawił. Nie zgrzeszyłem tak dalece niczem.

— Ej! ej! zrób-no waszeć rachunek sumienia!—odezwiała się Kasztelanowa.

— Doprawdy, że nie umiem odgadnąć, czego się tak ojciec nastraszył—rzekł śmiejąc się. Może tam coś było, co się mnie nie wydawało straszne, a do czego się ja nawet nie poczuwam.

— Oh! o! — przerwała Kasztelanowa — to już z acana taki bałamut, że romanse liczysz na tuziny. Ja się domyślam, że tatko pewnie dopatrywał jakichś zakazanych konszachtów z mężatką. A! to się nie godzi! Jeszcze tak, żeby aż ludzie o tem wiedzieli i gadali!—dodała ciszej.

Erazm się uśmiechał.

— Otóż, koniec końcem, powiem ci, że ja, jako żywo w interesach żadnej pomocy nie potrzebo-wałam. To wszystko kompozycya twego ojca. Nie masz tu nic do robienia, tyłkom rada, że sobie spocznieś i romans się rozerwie! Baw się sobie, ale proszę, proszę, żeby skandalów nie było!

Pan Erazm poprzysiągł, że mu umizgi nie na myśli.

— No! no! już my to znamy!—dodała jejmość, żegnając go.

Poszedł więc wyswobodzony Hojski do swego mieszkania.

Miał o czem myśleć. — Od wyjazdu z Sierhina piękna Leonilla, tak jak go żegnała po raz ostatni, na oczach mu stała.

Siadł zaraz pisać do niej pod kopertą ciotci Blandyny. Znając wszakże usposobienie ojca, który pieczęci żadnej nie szanował, wpadł na myśl, ażeby list adresować do ks. Dagiela, z prośbą o oddanie go do rąk Strukezaszanki.

Pisanie do wieczora go zajęło; wyszedł później po mieście się rozpatrzeć, bo go nie znał.

W pałacu przybycie p. Erazma, po obiedzie i rozmowie u okna z Kasztelanową, uczyniło wrażenie nadzwyczajne. Marszałek pędem przybiegł do pani Ostrogradzkiej.

— Pani, a najlaskawsza do brodziejki moja—odezwiał się tajemniczo.—Darmo to już się okłamywać: ten młokos nam tu sadła za skórę zaleje. Uważała pani jak naszą jejmość odrazu skorrumpował? Co to gadać? Chłopak ładny, rezolutny, bystry —i niebezpieczny.

— Komu to asindziej mówisz? — przerwała pani Ostrogradzka—czy to my tego z p. Olimpią już nie pomiarkowały? Frant—jemu z oczów to patrzy— a że nie po co przybył, tylko na szpiegi, na to szyję moją dają. Chcą wszystko za życia jej opanować, wziąć ją w kuratele, a nas—co to gadać! —a cztery wiatry!

Płachciewicz się zamyslił.

— No—otóż rada w radę—co robić?

Ostrogradzka podumała.

— Nie, tylko dyssymulować.

— He?

— Dyssymulować, a jak przyjdzie chwila sposobna—dodała jejmość—buty mu się uszyją.

— Żeby tylko się uszyły.

— Już asindziej bądź spokojny. Ja w tem.

Płachciewicz się przeszedł po pokoju.

— Udaje indyferenta—rzekł—a tyłkoco nie widać jak zacznie go być pełno we wszystkich ką-tach.

— O! frant! frant! — powtórzyła Ostrogradzka— ale ja panu jedno mówię, że się sprawdzi przysłowie: „Trafił frant na franta i wyrzwał mu kuranta.”

Marszałek ją aż w rękę pocałował za tę miłą obietnicę.

— Ja zawsze powiadam—dorzucił—jak nie pani Ostrogradzka, to u nas nikt! Bez pani nas-by on tu wszystkich w kaszy zjadł.

— Tylko—sza!—dodała jejmość.—Ja muszę iść do Kasztelanowej, bo już dzwoni. Boże miłosier-ny, że niema w dniu chwili spoczynku!

— Pani myśli, że u mnie lepiej? — westchnął marszałek, żeby człek chciał zdrzemnąć pół kwadransa: ledwie siadł, patrz, już drzwi się otwierają, ktoś

idzie, albo w dziedzińcu harmider.... Lec na złamanie karku, bo już się czubią, albo....

Lecz p. Ostrogrodzka, niedosłuchawszy, musiała biedz do Kasztelanowej, której dzwonek coraz natarczywiej słyszeć się dawał.

We dworze Łopatycykiem smutniej teraz było niż kiedykolwiek, Czemyryńskiego niczem rozerwać i z myśli ponurych nie można było wyprowadzić.

Miał przecucia trwożliwe, a wiadomości przywożone przez Kaczora, który zgodnie z instrukcją swojego pryncypała, straszyl wtrosze wywłaszczeniem i to jeszcze na rzecz wroga—wprawiły Czemyryńskiego w rodzaj gorączki.

— Wszystko w świecie!—mówił w duchu—lecz temu łajdakowi nie dam powąchać kawałka mojej ziemi!

Szukając środków wybrnięcia z długów, wpadł wreszcie na myśl sędzia: poradzenia się jedynego człowieka, którego za przyjaciela uważał.

Posłał się dowiedzieć o Podkomorzego; ten był w Warszawie. Spodziewano się jego powrotu, kazał więc arendarzowi dać sobie znać umyślnym, jak tylko przyjedzie.

Po dosyć długim oczekiwaniu, żydek oklep przybiegł, dając znać, że Podkomorzy przybył do domu. Jednej chwili nietracząc, kazał Czemyryński zaprzęgać.

Nie spodziewał się go Buchowiecki, sam zakłopotany jakiś i smutny. Poszli zaraz na ustęp do kancelaryi.

Czemyryński nie mógł chwili strzymać z czem przyjechał. Podniósł obie ręce do góry i począł patetycznie:

— Przyjacielu jedyny, w którego najlepszym sercu zaufanie pokładam, oto przybywam do ciebie, na łono twe wylać strapienia moje. Złe zemną!

— Cóż ci jest? na Boga!

— Ten wróg, ten zajadły nieprzyjaciel, nieśyty krwi mojej, ta żmija niegodziwa, ten niepocziwy Hojski—zarzyna mnie!

Tętnął, pot z czoła ocierając.

— Patrzaj-że co się święci!—wołał sędzia, na jaką się rzucił sztukę, aby mnie zgubić! Kto z nas nie ma dłużników? he?

— Pewnie!—westchnął Podkomorzy, który miał ich bardzo wiele—kto ich nie ma?

— Ten frant, zbójca nabywa moje skrypty! Usadził się na to, ażeby mnie z wiosek wysadzić, bodaj z Łopatycz nawet—rzekł, jęcząc, sędzia.

— A! to nie może być!—odparł zdziwiony Podkomorzy.—Maż on pieniądze?

— Sknera, skapie, zdzierca, lichwiarz, jakżeby ich nie miał? Tacy tylko ludzie jak on pieniądze mają! Ma! ma!

Westchnęli obaj *unisono*.

— Żebym był wiedział — pomyślał Podkomorzy w duchu—byłbym u niego pożyczyl.

— Wiesz co? — dodał Czemyryński, niech się dzieje co chce, Dyabłu duszę zaprzędam—dam ziemię zabezzen innemu, byle nie on wzięł. Zagrabi mnie—no, to umrę.

— Ale, co znowu! dajże pokój!—przerwał Podkomorzy—rada się jakaś znajdzie! Co u licha!

Zaczęli radzić. Na żaden sposób skutecznego a zarazem prędkiego środka wynaleźć nie było podobna. — Męczyli się cały dzień; Czemyryński ze złości i aprehensyi płakał.

— Słuchaj-no—rzekł nad wieczorem Podkomorzy — przychodzi mi coś na myśl, ale wstretliwy środek, do kata.

— Cóż? zlituj się, niech będzie co chce; byle nie Hojski!

— Masz piękną i ślicznie wychowaną córkę; król ze dworem jest w Warszawie. Znam Niemca, co mu się gwałtem chce wyjść jak Brühlowi na polskiego szlachcica. Gdyby go z sędzianką ożenić, danoby mu indigenat, ja w tem, a hultaj, bogaty, krezus, opłaci natychmiast długi.

— Jak się zowie?—zapytał Czemyryński.

— Vogt!—rzekł Podkomorzy.

— I krótko i kiepsko!—westchnął sędzia—ale co robić? Co za jeden?

— Niema co tać: ojciec świece sprzedaje, syn był w wojsku.

— Łojowe?—spytał Czemyryński.

— Tego nie wiem!—odparł Podkomorzy.

Po chwili odezwał się sędzia:

— Paskudna rzecz, a najgorsza, że Leonilka, co takiego noska ma, który zdala czuje lada podejrzana woń — gotowa się tego łoju dowąchać—i—nie pójdzie!

— Syn przywoity i ładny chłopiec!—powiadam ci — służył w wojsku, a wychowany jak panicz—i miliony po tatku.

— Żeby choć ten szoldra sklep zamknął, możeby z niego łój wywietrzał—westchnął sędzia.

— Wszystko to być może — a no, probujmy—rzekł Buchowiecki. Ja na wsi nie długo bawię, prawdę rzekłszy, po pieniądze tylko się przywlokłem. Dostanę ich i jadę do Warszawy. Przybywszy pocznę chodzić koło Niemca, a waćpanstwo niezwłocznie zjedzie.

Córce ani słowa!

— To się rozumie — odparł Czemyryński smutnie.—Ale tobie łatwo powiedzieć, acaństwo zaraz przyjeżdżajcie, a ja bez grosza jak ty — i ten niepocziwy Strukezaszyc, bodaj głową nałożył, kredyt mi popsul—ani dostać!

Rozprawiali do wieczora; stanęło na tem, że pieniądze, rozstap się ziemio, trzeba było dobyć zkadkolwiek, a do Warszawy jechać.

Czemyryński wpadł na myśl szczęśliwą wycięcia lasu, a że jego las był zniszczony, czemu nie miał rąbać dyferencyi? Z pięciu wiosek spędziwszy chłopów, Sierhinów się nie było co obawiać. Gdyby nawet śmiał się Strukezaszyc opierać, rady mu dać było łatwo.

— Niech potem procesuje! a tymczasem niech się ze złości zaje, niech go zółé zaleje! Dyferencya, ja mówię, że moja, on mówi że jego, ja tęc, on niech dowodzi. Jak do Bugu dostawię drzewo, zje kaduka, żeby mi je odebrał.

Myśl ta, szczęśliwa, nadzwyczaj tak przejęła sędzię, że niepowracając do domu, wprost pojechał do Kobrynia, da starego Arona Zybika, który dawniej u niego drzewo kupował.

Stanąwszy w austeryi, posłał po kupca. Nierychło, w odświętnym ubraniu, w sobolowej czapce, w płaszczu czarnym, podpasany jedwabną chustką, z kijem wsrebro okutym, przybył Aron Zybik, do nóg jaśnie wielmożnemu się kłaniając.

Sędzia tego dnia umyślił go panem Zybikiem nazwać, aby do serca jego przemówić.

Israelita znał doskonale stan interesów pana na Łopatyczach, a lepiej jeszcze stan jego lasów. Żadnej już w nich towarnej belki oddawna nie było.

Gdy sędzia zagał o sprzedaży lasu, żyd się uśmiechnął.

— A zkad jego brać?—zapytał.

— Cóż waćpanu do tego, kiedy ja daję?

Pokręcił głową kupiec.

— Znasz waćpan moją dyferencyę z Sierhinem? — Dyferencyę? ale ona do Sierhina należy — odparł stary żyd.

— Tak samo jak do mnie!—odparł sędzia.—Mamy o to proces, który już trwa lat dwadzieścia kilka.

— No, i może jeszcze trwać trzydzieści — rzekł Zybik. Pan Strukezaszyc ten las szanuje, a jak ja jego znam—dodał Aron—broń Boże napaści, gotów komu w głowę strzelić!

Czemyryński się zamyslił.

— Z nim niema co żartować — mówił dalej Zybik. — Choćby pan sędzia chłopów ze wszystkich wiosek spędził, w jednym dniu nie wytną, a on i sąd sprowadzi i sam się bronić będzie. To wojnal! Z przeproszeniem, jaśnie pana, ja tego nie będę radził, i tego drzewa nie będę kupował. Nie.

— No, to kupi drugi—zawołał Czemyryński.

— Nikt nie odważy się. Na co nam takie drzewo, za które musi ludzka krew się polać? — odparł Aron. I panu sędziemu ono na szczęście nie pójdzie.

— Ja potrzebuję pieniędzy—odparł Czemyryński—to darmo.

— Pieniądze, to jest inna rzecz—rzekł żyd zwolna—a tego drzewa ja panu tykać nie radzę.

— Zkad-że naprędce grosza dostać? — zapytał Czemyryński.

Aron podniósł oczy ku niebu, spojrzął na sędzię, w pokorze ducha, zdawał się milczeniem wyznawać także zupełną nieświadomość, gdzie pieniądze szukać należało.

— Ciężkie czasy!—westchnął,

Sędzia przeszedł się po izbie zafrasowany; krew, o której żyd wspomniał, wstret mu czyniła.

Strukezaszyc w rozpaczy gotów się był nawet na niego porwać.

Wśród tego dumania Aron się odezwał:

— Dużo to jaśnie panu potrzeba?

Sędzia do niego przyskoczył.

— Kilkaset czerwonych złotych byłoby dosyć.

Namyslał się Izraelita.

— Dawniej to było nic—rzekł—ale teraz—to jest summa wielka. Wie pan co? — dodał — mój krewny trzyma arędę w Łopatyczach.

— A tak! — zawołał sędzia—ale ja go wypędzę, bo mi więcej dają.

— Pan jego nie wypędzi, dawna rata zostanie, pan podpisze kontrakt na lat dwanaście, a ja kilkaset dukatów za niego założę. Nie chcę za to nie tylko młynek na Uściu dla siebie na lat dwanaście.

Zachnął się Czemyryński: warunki były zabójcze. — Ze skóry-bys mnie odarł!—krzyknął—to nie może być!

Aron, postawszy chwilę podedrzwiami, skłonił się i chciał odchodzić; sędzia obawiał się go puścić. Począł się targ — i kontrakt stanął o arędę. Można się więc było obejść bez napaści na las, bez wojny i następstw jej nieprzyjemnych. Odetchnął Czemyryński i, dostawszy oberzniętych dukatów, do domu pośpieszył.

Przez całą drogę rozmyślał: jak miał usprawiedliwić wycieczkę do Warszawy? Zdało mu się, że potrzeba zabawienia i pokazania córki na większym świecie, była pobudką dostateczną.

Zaledwie wysiadłszy i przywitawszy się z żoną, która o Podkomorzego rozpytywała, począł Czemyryński wywodzić żal nad tem, że się na wsi zakopali.

— Wszystkim nam czas-by się przewietrzyć—rzekł do żony — mnie, którego Hojski już w pół śmierci zamęczył, tobie, nareszcie Leonilce, która świata nie widzi i marnuje się tu na parafii. Podkomorzy znowu wyjeżdża do Warszawy; mnie się też chce pójść za jego przykładem i zrobić małą ekskursję z wami!

Sędzina, która każdą myśl męża uwielbionego witała oklaskiem, niewypowiedzianie się uradowała dla siebie i córki.

— A! czyż to może być, kochasiu!

— Musi być—i będzie!—potwierdził sędzia.

Z tą niespodzianą, a jak się jej zdawało, nadzwyczaj szczęśliwą nowiną, sędzina pobiegła do córki, na której twarzy czes od niejakiego czasu czytała niepokojący ją smutek.

— Leonciu! dziecko moje! przychodzę do ciebie od ojca, z taką wiadomością! że — że, podskoczyć powinnaś z radości.

Zerwała się od krosien p. St. Aubin, Leonilla stała nieporuszona.

— Ten pocziwy nasz drogi ojczysko,—poczęła sędzina,—to złote serce, które tylko myśli jak drugich uszczęśliwić — dla rozrywki twej, dla ciebie zrobił projekt popróży do Warszawy.

Leonilla rzuciła okiem na Francuzkę i pobladła.

— Ale ja—ja się wcale na wsi nie nudzę—odezwała się,—mnie tu dobrze.

Wielkie było zdziwienie matki. Córka zamiast radości, prawie łzy miała w oczach; to rzecz była niepojęta.

Ona i p. St. Aubin dawały sobie jakieś znaki; podróż spodziewanego wrażenia nie zrobiła.

Sędzina, zakręciwszy się, nieco zmieszana, powróciła do małżonka. Pani St. Aubin skorzystała z tej chwili, by przypaść do wychowanki i wybać ją a nawrócić. Ona sama wcale nie była przeciwną przejażdżce do Warszawy—potrzebowała dystrakcyi.

— A ja — rzekła cicho panna — wcale sobie nie życzę teraz ani wielkiego świata, ani opuszczenia tych miejsc, które mi się stały drogami. Podróż mnie nie rozerwie; utrudni tylko wiadomości od niego, powiększy niepokój.

Na co mi ta Warszawa?

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż 31 Marcu 1878 r.

Curriculum vitae.—Przyszła wystawa Paryzka.—Projekt przeniesienia Izby poselskiej z Wersalu do Paryża. Przycinek ks. Bismarcka—Ruch teatralny i książkowy. — Rzeczy polskie w literaturze francuskiej. — *Grażyna* dramat. — Poezye p. Millien'a. — Dzieła naukowe p. Lenormanta *O monecie w starożytności.* — Plan dzieła i jego ważność, klasyfikacja i porządek wykładu. — Co nam do życia zostaje? — *Kościół i jego przesławianie* przez p. Aubégo. — Jaki jest pogląd autora na przedmiot i co się w tej książce zawiera? — Polemika antychrześcijańska Celsa; restauracja zatraconego dzieła; pielgrzymujące filozoficzne sekt; i ciekawe szczegóły o Apolloniuszu z Tvanu. — Filostrat i jego fałszerstwo ksiąg ewangelicznych. — W. Hugo i jego II Tom *Historji zbrodni.* — Nowe i ważne odkrycie Edisona. — Fonograf w Akademii Nauk Paryzkiej. — Opisanie jego składu. — Ciekawe doświadczenia publiczne. Co trzymać o wynalazku?

Próżna burza pogrzmięwa na Wschodzie, próżno niepewna przyszłość czarne na niebie pokazuje punkta. Tu, jak niegdyś w starym Carogrodzie, zatapiają się w czczych, bezowocnych, bezbarwnych dyskusjach nad tem: czyje zdanie, senatu czy Izby poselskiej, przeważa na szali, na której waży się jakieś okrucieństwo budżetu... Tłum, publiczność, ogół, jak zawsze niewidomy i swawolny, bieży patrząc na skaczących z gitarą i grzechotkami, studentów hiszpańskich, na chińskich cieślów, co budują jakiś domek przy pałacu wystawy i na kończące się powoli budowy przyszłej wystawy, po obu wybrzeżach Sekwany. Otwarcie tej wystawy ma się odbyć, jak wiadomo, d. 1 Maja. W swoim czasie nie omieszkałam powiedzieć wam, jak się ten akt dopełni. Dziś zanotuję tę okoliczność, że ogromny gmach wzniesiony na wzgórzach Trocadero, po prawej stronie Sekwany i naprzeciw budynków przeznaczonych na przemysłową wyłącznie wystawę, gmach ten i mająca w niem odbyć się wystawa archeologiczno-historyczna, nie będą otwarte przedtem aż dopiero w końcu Czerwca, lub na początku Lipca. Pomimo bowiem nieustającej pracy ogromnej liczby robotników, budowy i urządzenia we wnętrzu tak są ogromne, iż niepodobną jest rzeczą, aby pierwsi mogli być skończonemi.

Codo tej archeologiczno-historycznej wystawy, muszę wam powiedzieć, że i my mieć będziemy swoje osobne miejsce. Wystawa, zajmując się jedynie pamiątkami przeszłości, obejmie w swe olbrzymie ramy każdy kraj i każdy naród, który miał swoją własną, odrębną historję i swoją cywilizację, z odpowiedniami jej pamiątkami przeszłości. Towarzystwo historyczno-literackie przykłada do tego rękę, i wszystko zapowiada piękną i świetną wystawę. A jeśli nie nam nie jest i dziś obcem, co się tyczy przemysłu i pracy — zobaczymy jak to bywało dawniej i porównamy terażniejszość z przeszłością.

Tymczasem mądrze obmyślany środek usunięcia Izby i jej obrad spod ulicznego nacisku burzliwej, chwiejnej i niestałej populacji Paryża—środek, który niezaprzeczenie wydał najlepsze skutki, jest w chwili zniknięcia z urzędowego programu polityki wewnętrznej. Pobyt w Wersalu znudził prawodawców francuskich; drogo opłacone doświadczenie, strasznymi wypadkami Komuny, poszło w niepamięć. Ludzie, którym brak mętej wody przeszkadza do obfitego połowu marzonych wielkości, nie mogą usiedzieć na spokojnych ławach cichego miasteczka: potrzeba im wrzawy, gwałtu, potrzeba ciągłej i wiecznie trwającej rewolucji. Ludzie z takiej gliny wnieśli prospekt w Izbie poselskiej przeniesienia obrad do Paryża na czas wystawy. Wysłuchano go i odesłano do rozpatrzenia właściwej komisji. Jeśli wniosek ten przyjęty zostanie—a i to do nieprawdopodobieństw nie należy,—można będzie powrócić do Francuzów słowa Bismarcka, napisane w liście do p. Moltkego: „Próżno-byś karmił jęczmieniem barana, bo nie zrobisz zeń konia; darmo-byś schlebiał Francuzom, nie zrobisz z nich rozważnych ludzi“ (1).

Dziś oprócz tej ostatniej nowiny nie ważnego na bruku paryzkim. — Koniec zimy ciepki, szary i mroźny. Marzec szaleje jak zwykle, a Północ mrozem i śniegiem dmucha. Jaka będzie wiosna? Nasz drogi Nestor, Kraszewski, skarży się na wioską wiosnę—zdaje się przedczasem,—trzeba czekać Kwietnia, bo ten odpowiada naszemu Majowi.—Wierzę, głęboko czuję z najdroższym jubilatem, że u nas inaczej, że i dym ojczysty nie wygrza tak oczu jak obey, że to, co u nas powiewa wiosenną wionią, nie ma sobie nic równego na świecie. Przecież we wszystkim są stopnie, a i we Włoszech bywa czasem pięknie i miło, bywa też czasem i we Francji, że natura, jakby-to nasza, uśmiechnie się serdecznie, zabrzęczy roboczą pszczołką, zapachną kwiaty na łące, motyl błyszczącym skrzydłem uderzy po twarzy i łąza się w oku zakręci. Myśląc, że i u nas tak bywa—*carpe diem!* Cóż robić, my tu pielgrzymi; idziem o kiju, a co Bóg zdarzył przyjmujemy w pokorze. Tylko ludzie, i to na pozór, są inisi! bo w gruncie wszędzie się znajdują i dobrzy i źli.

Pójdźmy więc na zwykłą do księgarni przechadzkę, bo teatr muszę odłożyć do przyszłego listu... Trzy ważne dzieła dramatyczne zjawily się na scenie paryzkiej, same imiona pisarzy: W. Hugo, Dumas, Sardou—zapowiadają już potężne kreacje i tak jest w rzeczy samej, ale, aby je należycie ocenić, aby dać czytelnikom gruntowne wyobrażenie o tych sztukach, które się zowią: *Misérables*, *Józef Balsamo* i *Mieszczanie z Pont-Arcy*—na to potrzeba wejść w pewne szczegóły, w pewne objaśnienia, których wykład zajmie daleko więcej miejsca, niż mi pozostanie dzisiaj w tym liście z powodu kilku naukowych książek, o których dawno już powinienem był zdać sprawę czytelnikom moim. Jest przytem i ważne bardzo naukowe odkrycie, świeżo przedstawione i rozbierane w Akademii Nauk, i niewolno jest korespondentowi odkładać wiadomości o niem do jutra. Jestem tu jak przed obiektywą dagerotypu: skoro się obraz odbił na blasze, muszę go chwycić, aby czas mi nie zabrał przelotnego rysunku. Dla tych więc powodów odkładam przegląd teatralny do przyszłego listu.

Książki — tych zawsze jest nawał — weźmy co pilniejsze i lepsze. Najpierw powiedzmy słówko o pisarzach obeych, co się nami z jakiegobądź zajmują powodu. Oto *Grażyna*, dramat, napisany po francuzku i podpisany „Juliusz Franc“. Jestto pseudonym, pod którym ukrywa się imię kobiety, niebardzo młodej, a ztąd zapewne w niewielkich będącej łaskach u jasno-włosego pana Olimpu, który zamiast ją unieść w swoich ramionach, kazał jej piechotą drapać się na stromą poetycką górę. To też biedaczka z okrutnemi mozołami doszła do celu. Cudzoziemiec, rymujący dramat *Grażyny*, jest to już nielada fenomen—ale cudzoziemka pełnoletnia Francuzka, to przechodzi wszelkie wyobrażenie ludzkie. Żeby dać jeden tylko przykład spotkanych na tej drodze trudności przez szanowaną autorkę, zaczniemy od samego imienia bohaterki, którą poetka wymawia „Grażina“, z tym strasznym, francuzkim uderzeniem na ostatniej samogłosce *a*. Ztąd można zmiarkować: co za rozmowy prowadzą z sobą owi Litwini w rysiej odzieży, z oszczepami w rękul.. Przeczytawszy ten dramat,—bo któżby go grać zdołał? — dopiero człowiek może się zapytać: „Zkąd wracają Litwini?“. Ale *in magnis voluisse sat*: niech Bóg nie pamięta tej pani, tego męczeństwa *Grażyny*, tylko to, że w jej pracy były dobre chęci i jakaś dla nas przychylność. Niech jej za to Bóg zapłaci!

Drugim z porządku pisarzem jest również poeta p. Achilles Millien. Tym razem jesteśmy wobec prawdziwego syna Helikonu, a w dodatku, co wcale nie szkodzi, człowieka z sercem i duszą, który, jak sam powiada, „ma głęboką dla nas sympatyę, sympatyę, która wzrosła jeszcze od czasu ostatnich własnych nieszczęść Francji“. Już to samo wskazuje autora uważać naszych czytelników, a dodajmy jeszcze, że p. Millien prawdziwy ma talent poetycki i że poezye, które poświęcił niektórym wspomnieniom o nas, oddychają nie tylko zapałem wieszczym, ale i wdziękiem najszlachetniejszych uczuć.

Nowy tom jego poezyj, który wyszedł u Lemerre'a, nosi tytuł: „Pierwsze poezye (*Premières Poésies*) 1859—1863“. Jestto nowa, poprawna i prze-

robiona edycja poezyj, które się ukazały w r. 1875. Edycja dzisiejsza zaleca się nadto przepychem drukarskim najlepszego smaku i ozdobiona jest portretem autora i kilku pięknymi rycinami *aqua forte*. Ale jeśli ta wdzięczna sukienka do twarzy jest muzeum p. Millien'a, muza ta jest to tak piękne, tak powabne dziewczę, że się i bez tych ozdób podoba każdemu. Pomiędzy poezyami, które się nas tyeza, niektóre mnie zachwyciły. Oddając sprawiedliwość poecie, oddajmy należny hołd człowiekowi. Ukochać maluczkich i biednych jest to już wielką zasługą u Boga, ale chlubić się otwarciem tą miłością, szczyścić się nią i sławić ją—jestto cechą wyższości potężnego ducha!...

Oddawszy ten hołd uczucia, przejdźmy do rzeczy rozumu, do ksiąg naukowych. Oto dwa pierwsze tomy dzieła o numizmatyce. Nie jest to zapewne książka, której czytanie może wprawić w uniesienie lub zachwyt niezmierny. Nie. Nie uśmieje się czytelnik do rozpuku, przewracając jej satynowe przeciwie kartki, ale to pewna, że się czegoś nauczy i zrozumie wiele mu dotąd obeych wcale rzeczy. Mówię tu o dziele p. Fr. Lenormant'a pod tytułem: *La Monnaie dans l'antiquité*. Są to odczyty, a raczej lekye wykładane przez tego znakomitego profesora na katedrze archeologii, istniejącej przy wielkiej narodowej bibliotece w Paryżu.

Dwa te pierwsze tomy są początkiem ważnego i obszernego dzieła i obejmują w sobie kursa od 1875—1877 r. Nie chodzi tu wcale, jakby się zdawać mogło, ostrzegam czytelników moich, o naukę poznawania medali i monet, bo tej, niestety, trzeba się uczyć osobiście, rozpatrując i studyując gabiny i zbiory numizmatyczne; ale są to jakby główne i najważniejsze zasady sztuki objaśniania czy tłumaczenia pomników starożytnych, które poznają się jedynie gruntownie za pomocą praktycznego zapatrywania się na nie. Jest to przytem jasna i czysta synteza faktów, które dały się sprawdzić dotychczas; synteza streszczona wiadomości ogólnych, wielkie zarysy obrazu ogromnej całości. Są to jakby statuta praw, które powstały z porównania między sobą niezliczonej liczby drobnutkich faktów. Jednym słowem, jest to zasób pomocniczy wiadomości, jakie doświadczeni numizmata dorzucić może do ogółu wiedzy i tradycji.

Wiadomo jest, że brak dzieła ogólnego w tym względzie dawał się uczuć zdawien dawna. Jedyne dzieło, jakie posiadał dotąd świat uczony, było to: *Doctrina numorum veterum* Eckhel'a. Dzieło to ważne w swoim czasie (z ostatnich lat XVIII w.), dziś już nie odpowiada potrzebom i wymaganiom nauki. Eckhel bez zaprzeczenia był twórcą klasyfikacji numizmatycznej; ale od tych czasów tyle nowych odkryć i tyle nowych uczyniono w tym względzie postępów, zbadano i odczytano pomniki Egiptu, Assyrii, Persyi i t. d. odszukano i uporządkowano pomniki napisów rzymskich, greckich i t. d. a wszystko to rozszerzyło granice wiedzy i postawiło w nowem świetle mnóstwo punktów zupełnie obeych Eckhelowi. Trzeba więc było nowego szukać środka i nową drogę otworzyć dla nowych badaczy.

Wychodząc z założenia Izzydora z Sewilli, który według Oryginesa taką rzymskim prawnikom dał dyfinicję monety: „Trzy są główne rzeczy w każdej monecie: kruszec (materya), prawo i forma; gdy jej jednego z tych warunków braknie, wówczas powiedzieć można zaprawdę, iż niema monety“—wychodząc z tego założenia, pan Lenormant rozbiera stopniowo wszelkie rodzaje monet starożytnego świata w trzech głównych warunkach: kruszczu, prawa i formy. Idąc w ślady Momen'a i Brandis'a objaśnia autor sukcesyję i losy rozmaitych systematów monet, dzieląc je na epoki określone historją.

W systemacie Narodów Wschodnich i Grecyi wskazuje nam trzy główne epoki: Od wynalezienia monet do Daryusza, syna Wistaspy (Histaspes); od Daryusza do Filipa i Alexandra W.; nakoniec od Alexandra do Rzymian. Poczem wyklada systemat rzymski aż do upadku państwa.

Plan dzieła, którego zaledwie pierwsza połowa wyszła dziś na świat, wskaże nam najlepiej jego ważność naukową. Zaczyna się to wstępem, który traktuje porządnie i jasno o głównych zasadach

(1) Słów Bismarcka o Francuzach powtarzać w danym razie nie potrzeba; wniosek Spullera, dotyczący przeniesienia obrad do Paryża na czas Wystawy, odrzuconym został przez Izbę Poselską. (*Przyp. Red.*)

nauki. Są to prolegomena dzieła. W nich są zawarte: Rzecz o pomnikach numizmatycznych, a które nie są monetami;—o ogólnym nazwisku monety w starożytnych, o początkach i o rozszerzeniu użytku monety w starożytności. Następnie mówi autor o kruszcu, czyli materyi monet starożytnych, o monetach spadkowych, o sposobach bicia monety w starożytności. Czytamy potem o prawie w starożytnych monetach, o naturze prawa bicia monety. Za tem idzie rzut oka na doktrynę monetową i jej praktyczne zastosowanie u starożytnych. Zamykają rzecz rozdziały dotyczące się ustanowienia magistratury monet w starożytności, organizacji prawa monet, ich rzeźby i wogóle o monetarnem rzemiośle u starożytnych.

Księgi następne zawierają rozprawy: o formie w monetach starożytnych, typ starożytnych monet, napisy, mniejsze typy, skrócenia imion własnych, monogramata, naśladowanie obcych typów w starożytności, rys paleograficzny monet, paleografia Grecka, Rzymska, Semitycka Azji Mniejszej, Italska, Hiszpańska, Irańska i Indyjska, historya systematów starożytnych monet na Wschodzie i w Grecyi, w Italii i w Rzymie, monety w cywilizacji skrajnego Wschodu,—Chiny, Japonia i Korea.

Dwa dotąd wyszłe tomy tego ważnego dzieła wypełniają, jak mówiłem, dopiero trzy pierwsze księgi rozległego programu. Napisane jasno i z pewnym blaskiem pióra, mają tę niezmierną zaletę, że są przystępne dla wszystkich, że rozpowszechniają, czyniąc je zrozumiałymi, wszelkie szczegóły tego ważnego przedmiotu i że dają dokładne wyobrażenie o całości tej wielkiej gałęzi archeologicznej nauki i o stanowisku, na jakim się dziś znajduje nauka o monetach i medalach.

U nas, gdzie o tej materyi pisano niewiele, ale porządnie, że wspomnę tu jedynie prace Lelewela, dzieło p. Lenormant, przetłumaczone, oddałoby tę wielką posługę, że oswajając z tą gałęzią historycznych nauk, uczoną i nieuczoną publiczność wywołałoby może niezmiernie pożądane prace codo monet słowiańskich, a choćby nawet i polskich tylko. Polecam je zatem uwadze tych, co się zajmują u nas tłumaczeniem z francuzkiego; lepszego pola popisu nad to, trudno, aby mogli znaleźć.

(Dokończenie nastąpi)

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Znów kilka uwag o kierownictwie artystycznym. — „Sylwia“ (Pietra) — tragedia w 5 aktach Mosenthala, przekład J. Jasińskiego, — przedstawiona poraz pierwszy na scenie Teatru Wielkiego d. 30 Marca r. b. (1).

Przyzna to każdy, że nie naszą to winą, iż tak często musimy teraz napomykać o prowadzeniu sceny całkowicie innem, aniżeli dotychczasowe, jeżeli ta scena ma być istotnie taką, do jakiej prawo rościć winno miasto największe w całym kraju.

Ma ona bowiem wreszcie pewną tradycję za sobą, tradycję, nieciągłą wprawdzie, ale kilkakrotnie świetnymi epokami podążającą jasno i niezbić, że jej nie wolno być dołem chwilowego kaprysu, rutynicznych a bezbarwnych wysiłków, lub synekurą dla szczęśliwych a... niezasłużonych wcale.

Abstrahując wreszcie od kwestyi — dzierżenia berła reżysseryi, zwracamy jedynie uwagę na wymagania słuszne, jakich się po takiej scenie jak warszawska spodziewać wolno, a do tych zaliczyć trzeba na pierwszym miejscu: ustalenie repertoaru.

Dojście do takiego repertoaru, któryby każdy człowiek ukształcony nazwać mógł mniej więcej zupełnym, jest rzeczą — wiemy o tem — niełatwą wcale; ale jest, a przynajmniej bezwarunkowo być winno, celem każdego, kto nie waha się nazywać: kierownikiem artystycznym sceny.

Kto takiego celu, obejmując kierownictwo czy reżysseryą, przed oczyma nie ma, — kto sobie odpo-

wiedniego ku temu planu nie ułożył, lecz tylko spuszcza się na natchnienie chwili, na prąd okoliczności poza teatrem leżących, lub na każdorazowy luźny i dowolny wybór, ten nietylko że zadania swego nie pojmuje, ale co gorzej, dla rozwoju sceny stanowczo jest szkodliwym.

Publiczność warszawska, jak każda inna, daje powodować sobą we względzie smaku artystycznego. Przyzwyczajana do sztuk dobrych w szerokim znaczeniu tego wyrazu, coraz więcej pożądać ich będzie, coraz silniej przywiązując się do sceny i wogóle rozmiłowując w teatrze; — odzwyczajana od nich, lub nużona systematycznie utworami bez wartości, przestarałami lub zgoła zwietrzałami, odwraca się od teatru, przestaje uważać go za rozrywkę szlachetną i zaczyna sobie szukać innych... które na powrót jej zamiłowania dla teatru, z pewnością nie wpłyną.

Obecnie — publiczność nasza w tem znajduje się położeniu.

Domaga się sztuk nowych, oryginalnych i obcych, ale uznanych za dobre lub choćby mających urok nowości, a nie widząc ich wcale lub tylko w skąpej liczbie, zasypanej natychmiast paczką starzyzn z przed roku 1840, wznawianych najniestosowniej i najmniej potrzebnie, — zaczyna stronić od teatru, szukając z zapałem rozrywki w cyrku lub francuzkiem Café-chantant.

Wymagania publiczności codo sztuk, łączą się z wymaganiami znawców i prawdziwych miłośników sceny, codo liczby artystów. Jest ona, poza kilkoma uznaniami już talentami wielkimi i mniejszemi, tak szczupłą, tak niedostateczną na przyszłość, że słusznie o dalsze losy sceny troszczyć się można. Młodsze siły nie wyrabiają się wcale, bo nie mają ani szkoły ani zachęty, a zachętę znalazłyby właśnie wtedy, gdyby im dawano role w pięknych i poważnych utworach. Wracamy więc znowu do konieczności wytworzenia stałego a dobrego repertoaru, jesteśmy bowiem przekonani, że publiczność w zamian za bogatą treść, wybaczyłaby słabszą obsadę niektórych ról.

Nie myślimy tu bynajmniej dawać recepty ze słów słynnego kierownika sceny Laubego, który o prowadzonym przez siebie „Burgtheatrze wiedeńskim“ tak się wyraził: „Idealem moim było, móżdż po kilku latach powiedzieć każdemu obcemu: „Zostań rok w Wiedniu a ujrzysz w teatrze Burgu wszystko, co niemiecka literatura w ciągu stulecia wytworzyła dla sceny klasycznego lub odznaczającego się pełnią życia; ujrzysz czem dla nas był Szekspir, i co nasz sposób poglądu i myślenia, przywłaszczył sobie od romańskich ludów“.

Nie, tak dalece wybrednie wymagającymi nie jesteśmy, umiemy się liczyć z siłami naszymi i zasobami w porównaniu do sił i zasobów, któremi Laube rozporządzał; wiemy też dobrze czem był Laube, wiemy, że o takich kierownikach artystycznych niezmiernie trudno.

Wreszcie Laube zajmował stanowisko naczelne artystyczne. On wybierał sztuki godne przedstawienia, on je obeinał dla dobra autora, gdy pewne ustępy osłabiały akcję główną lub szkodziły efektowi, on wybierał i wyrabiał młode talenta aktorskie, on im, jak się sam wyraża: „patrzył w oczy“, zajmując przy teatrze stanowisko psychologa. Dla tego za jego czasów, obfitość talentów aktorskich zwróciła na siebie uwagę nie sa nego Wiednia, ale całej Europy. „Burgtheater“ zrównoważył, dawną zwłaszcza *Comédie française*.

Do inscenowania zaś sztuki (ułożenia scenariusza: informacyj czysto-technicznych przy wprowadzeniu jej na scenę) mianowany był osobny reżyser, będący najściślej pod jego rozkazami. Reżyser był tylko ślepym wykonawcą, Laube zaś intelektualnym inicjatorem, sędzią przy obiorze sztuk, a zarazem informatorem dla aktorów, ale w wysokim, psychologiczno-artystycznym znaczeniu.

W ten sposób była jedność, czyli rozumna jednolitość w kierownictwie, i ład i posłuszeństwo w wykonaniu. Aktorzy nie byli oponentami dla kaprysu lub złośliwości, bo wiedzieli, że słuchać warto takiego przewodnika, który nietylko dobro sceny ustala, ale i ich samych, ich indywidualnie, na dobre i korzystne prowadzi drogi. Talenta też rzeczywiste potężniały, emulowały ze sobą tą emulacją, na której zawsze zyskuje każda wiedza; młodsze, słabe nawet zdolności, nabierały rutyny tak

potrzebnej dla każdego i najgenialniejszego aktora, a nie dochodziły do niej po steraniu sił kilkunastoletniem, czyli wtedy, gdy rutyna staje się często złem przyzwyczajeniem, ale po latach kilku, ucząc się od znakomitszych kolegów i słuchając rad wytrawnego przewodnika.

Zwróciwszy się do naszej sceny, bez złośliwej intencji porównywał, niepodobna nie widzieć, braku wszelkiego planu w układaniu repertoaru.

Co los zdarzy, co z wierzchu, a raczej co ze spodu zakurzonych szaf bibliotecznych — to idzie na scenę. Sztuk nowych, oryginalnych bardzo mało; sztuk obcych mniej jeszcze, a i te jakże wybrane! Potrafilibyśmy wylczyć tu cały szereg nowości francuzkich, nietkniętych dotąd u nas.

Tak np. W. Sardou kilka sztuk najlepszych, granych z wielkim powodzeniem w Paryżu, nie mamy wcale (Andrea, Wuj Sam, Mieszczanie z Pont-Arcy, a zwłaszcza Dora); z niemieckich niewiele co prawda, ale parę choćby: Wilbrandta i Bauernfelsa, wybrać się dało; wreszcie małoż skarbów w Szekspirze, którego kilkoma dziełami wystawionymi przed laty, dziś jeszcze scena warszawska żywi się, niby okruszynami, spadłami z pańskiego stołu?

Lecz prawda — nie mogliśmy mieć obecnie możności wprowadzenia na scenę Szekspira, potrzebującego głębszych, niepodobnych studyów przygotowawczych, niezbędnych już choćby przy samym tylko inscenowaniu!

Zamiast więc dzieł nowych i nienowych, ale godnych sceny poważnej, widzimy sztuki przestarzałe, lub należycie już ograne na tutejszej scenie, lub niegrane tutaj, ale zato takie, które nie miały nigdy powodzenia na innych scenach.

Zaliczamy do nich „Sylwii“, tragedję Mosenthala, graną już w r. 1864 w Burgtheatrze wiedeńskim, pod tytułem: „Pietra“.

Nie mamy nic w zasadzie przeciw Mosenthalowi — zwłaszcza gdyby nam przedstawiono najlepszą jego sztukę „Zagrodę Sobkową“ (Sonnenwendhof), ale dlaczego wystawiono tę tak zwaną tragedję, dziś gdy niema ona już nawet zalety nowości? Zaiste... niezbadane są wyroki... reżyssery!

Niektórzy ze sprawodawców nazwali ją: melodramatem, inni dramatem, inni tragedją. Ośmielamy się być tego zdania, że *Sylwii* daleko do udanych melodramatów francuzkich, a tragedją jest chyba dla tego, że dwaj bohaterowie główni, kochanek i kochanka, umierają na scenie, a trzeci — ich ojciec — umiera za sceną. Ktoby jednak szukał tu poezyi, prawdziwego zapału, tego ognia, który talent twórczy raz choćby w ciągu pisania dzieła, odczuwa, zawiódłby się zupełnie. Pomysł zaś sam: nienawiści rodziny jednej włoskiej do drugiej i równoległe bieżące akcji miłosnej między dwójgim młodych ludzi, z obydwóch rodzin sobie wrogich, nie jest bynajmniej nowym, bo pierwowzór jego przepyszny, znany dostatecznie z „Romeo i Julii“. Tło niby historyczne, walki Gwelfów z Gibellinami, najzupełniej widzowi jest obojętne, bo dosyć byłoby nienawiści rodzinnej, takiej jak była np. między Montecchi i Capuletti, albo między drobnymi rodzinami książątek i hrabiątek włoskich XVI stulecia, ażeby dramat krwawy rozwiłać. Tylko potrzebaby koniecznie, żeby on nas interesował czembądź, jeżeli już nie charakterystyką i kanwą psychiczną, to przynajmniej efektem dramatycznym. Tymczasem od pierwszego aktu do ostatniego, a jest ich pięć, a nawet sześć, bo 4-ty w dwóch odsłonach, wie się naprzód co nastąpi; mniejsza wreszcie o to, ale deklamacya tych kochanków i przekleństwa starego ojca i nienawiść rywali — mało mają tych przymiotów, których od dzieła poetycznego wymagamy.

Tak też i czyniło wielu z widzów, zapytujących się z osłupieniem: czego chcą „ci Ajaxy“ co zyskała na tem poetyczna sprawiedliwość, że Sylwia zginęła i Manfred, kiedy nawet tego ojca, który najwięcej nudził Pana Boga prośbami o zemstę, nie ma w tej chwili, gdy właśnie mógłby zemstą się napastwić?

Wreszcie czyliż może się nazwać charakterem, ten ciągle na scenie albo śpiący, albo ranny, albo umierający Manfred?

A ten ojciec Sylwii? Nikt nie ma litości nad jego wściekłością obłądną i chorobliwą — nikt, krótko mówiąc, nie ma współczucia dla tych wszystkich

(1) Tragedya Sylwia (Pietra) w przekładzie J. S. Jasińskiego drukowaną była w *Bluszczu* z r. 1872. (P. R.).

figur, z wyjątkiem chyba dla jedynej Sylwii, która, chwilami pozwalała na jakie takie złudzenie. Ale tylko „chwilami“.

Nie chcemy się tu wdawać ani w streszczenie, ani w szczegółowe charakteryzowanie scen; powiemy tylko, że dość zużytym efektem jest owo ukrywanie przez Sylwii Manfreda w swej komnacie, a niezgodnem znowu z naturą Sylwii, opowiadanie jej z rozkazu ojca o zamordowaniu przez wrogów czterech jej braci!

Mimowoli przechodzi nam na myśl łaskawość krytyki warszawskiej na obce elukubracje, a jej zawziętość i srogość, godne lepszej sprawy względem utworów oryginalnych, nawet rzetelnie do- brych.

Tej publiczności zaś mało było na pierwszym przedstawieniu, a na drugim — mniej jeszcze.

Artyści wyczerpali wszystkie siły, ażeby podtrzymać sztukę na wysokości pięknostworu scenicznego. Panna Derynżanka zwłaszcza w roli Sylwii, ujawniła znowu piękne swe zdolności. Grała z siłą i ogniem, którym udawało się w wielu ustępach wykrzesać oklaski, za grę wyborną należne.

Niemniej p. Królikowski (ojciec Sylwii) grał ze zwykłym sobie talentem, a jeżeli równie jak panna Derynżanka nie zapewni dłuższego istnienia sztuce, to już z pewnością żadnego wyrzutu sumienia czuć nie będzie.

Pochwalić trzeba grę bardzo staranną i rozumną pp. Tatarkiewicza i Kotarbińskiego.

Niemniej p. Grzywiński — sumiennie się z zadania swego wywiązał.

Przekład, którego dokonał b. Dyrektor teatru i znany autor i tłumacz dramatyczny pan Jasiński, udatny jest i staranny.

E. Lubowski.

HISTORIA ZBRODNI

TOM II.

DZIEŃ TRZECI.

(Dalszy ciąg).

Razem z La Flotte'm, niezmiernie dzielnym mężem, poszliśmy zwiedzać barykady — mówi autor — idąc zaś, notowałem fakta tak, jak się chaotycznie przedstawiały. Z tych notatek bardzo charakterystycznych, ale których tu dla braku miejsca powtarzać trudno, dowiadujemy się, że barykady budowano raźnie, że bohaterstwo pojedynczych ludzi było szczywistem, że starano się jaknajmniej robić szkody w budynkach i meblach.

Dajemy tu jeden maleńki ustęp: „Niektórzy poszli posilić się do kupca win na rogu ulicy.

„Kupiec rzekł: „Kto głodny, niech je“, na to jeden z walczących pyta: „A kto zapłaci? — Śmierć“ — odrzekł. I istotnie, w kilka godzin potem, otrzymał siedmnaście pchnięć bagnetem“.

Na barykadzie na ulicy I. J. Rousseau żołnierze wszystkich zakłuli.

Trupy leżą aż po Plac Zwycięstwa. Na barykadzie Pagevin jest 50 walczących. Przeprowadzono do mnie szpiega — mówi dalej notyska — który był pewnym, że go rozstrzelać każe. Kazałem go puścić na wolność.

Uściskałem się z Bancel'em, który zapytał: „Zwycięzimy?“ — Tak — odrzekłem. „Prawieśmy o tem nie wątpili“ — dodaje autor.

Kiedy tenże schodził z ulicy la Vrillière, przejechało kilku oficerów z jakimś na pół po wojskowemu przybranym. De Flotte trącił mnie łokciem, mówiąc: „Znasz Fialin'a?“ — Nie. — Przypatrz mu się.

Wracał widocznie z zamku. Czyżby znowu wziął się do przymusowej pożyczki? Ludzie stojący u drzwi, patrzyli na niego ciekawie i bez gniewu.

Postać jego tchnęła zuchwałością. Wyglądał przed tym orszakiem jak człowiek karakolujący poprzed zbrodnią. Koń jego był bardzo piękny, —

i biedne zwierzę — wydawało się bardzo dumnym Fialin uśmiechał się.

Trzymał w ręku szpicerkę, na którą twarz jego zasługiwała.

Przejechał. Raz tylko widziałem tego człowieka.

Dzielny mój fiakr odwiózł mnie napowrót na ulicę Richelieu pod N. 15.

* * *

Pierwsza barykada ulicy S-go Marcina zbudowaną była przy ulicy Meslay.

Przewrócono ogromny wóz, położono go w poprzek ulicy i wyjęto bruk.

Barykada ta, głowa całej ulicy, mogła być zaledwo chwilową przeszkodą, bo nigdzie nie sięgała wyżej głowy człowieka. — Zawsze można się tu dać dobrze zabić — rzekł gamin, który bruk wyrywał.

Ze stu walczących stanęło za barykadą. Około dziewiątej ruch wojska zapowiadał atak. Czoło brygady Marulaz zajęło róg ulicy od strony bulwaru, a działą dominujące nad całą ulicą ustawiono przed bramą S-go Marcina.

Obserwowano się czas jakiś z obu stron w tem ponurem milczeniu, które poprzedza zwykle starcie. Wojsko patrzyło na barykadę najeżoną fuzjami — barykada patrzyła w paszczę otwartą armaty. Wkrótce dano sygnał powszechnego ataku.

Pierwsza kula, przeleciawszy barykadę, trafiła o 20 kroków w same piersi przechodzącą tuż kobietę. Ogień rósł, nie uszkadzając bardzo barykady.

Walczący witali każdą kulę okrzykiem: „Niech żyje Rzeczpospolita“, a mając mało kul, nie dawali strzałów. Nagle pułk 49 wysunął się w ścieśnionej kolumnie.

Barykada palić się zaczęła.

Kiedy dym zniknął, ujrano na bruku z dwunastu ludzi, a żołnierzy cofających się w nieporządku. Dowódca barykady krzyknął: Uciekają, nie strzelajcie, szkoda kul.

Ulica opustoszała — działą grzmieć zaczęło. Kule dochodziły co dwie minuty, ale źle były celowane. Jakiś człowiek, mający strzelbę myśliwską, zbliżył się do dowódcy barykady i rzekł: Zagwoźdźmy armatę, zabijmy kanonierów. — Pocz? — odrzekł tenże z uśmiechem — oni nam krzywdy nie robią.

Lecz już słyhać było trąbkę i widocznie gotowano się do drugiego ataku, który miał być gorętszym i upartszym.

Widocznem też było, że barykada raz wzięta, oczyści zupełnie ulicę, bo inne barykady i gorzej od tej były zbudowane i gorzej bronione. Mieszczuchy dali swoje strzelby, a sami weszli do domów, — wypożyczyli tylko ulicę, nie więcej.

Trzeba więc było utrzymać barykadę jaknajdłużej, lecz w jaki sposób się oprzeć? Zaledwo wystarczało dwóch strażów na człowieka.

Niespodziewana amunicja przyszła w pomoc.

Młody człowiek — mogę go nazwać, bo już nie żyje — Piotr Tissie, robotnik i poeta, pracując rano przy barykadzie, w chwili zaczęcia, odszedł pod pozorem, że nie ma strzelby. Powiedziano o nim: tchórzy.

Lecz on nie tchórzył.

Mając przy sobie nóż tylko katalański, szedł otworzywszy go na ślepo, naprzód.

Kiedy wychodził z ulicy Saint-Sauveur, ujrzał na rogu ulicy pustej, żołnierza na warcie, pozostawionego zapewne przez zapomnienie tylko w tak odległym miejscu.

Żołnierz ten stał w pogotowiu do dania strzału.

Usłyszawszy krok Tissiego, krzyknął:

— Kto idzie?

— Śmierć! — odparł Piotr Tissie.

Żołnierz strzelił i chybił, a Tissie, poskoczywszy, zabił go od jednego pchnięcia.

Potem naładował go na plecy, podniósł karabin i powrócił do barykady.

— Przynoszę rannego — rzekł.

— Zabitego.

Istotnie, żołnierz wyzionął właśnie ducha.

— Podły Bonaparte! — rzekł Tissie! — Biedny ty chłopcze! — ha! trudno, ale mam karabin.

Wypróżniono torbę żołnierza, podzielono się kulami. Było ich sto pięćdziesiąt. Były tam także

2 sztuki po 10 franków, jako żołd za 2 dni od 2 Grudnia. Rzucono je na bruk, bo nikt ich nie chciał.

Atakujący tymczasem, ustawili kartaczownicę obok armaty.

Zaledwo kule rozdano, gdy się ukazała piechota i ruszyła na barykadę. Ten drugi napad był straszny, lecz odepchnięto go.

Dwa razy szarżowała piechota, dwa razy się cofnąć musiała, zaslawszy trupami ulicę. A swoją drogą, kartacze dziurawiły barykadę.

Położenie było rozpaczliwe — kule wyczerpane. Niektórzy, rzuciwszy strzelby, starali się wymknąć, ale wymknąć można się było tylko przez róg ulicy Saint-Sauveur, a chcąc się tam dostać, trzeba było przełazić dołem przez barykadę, odsłaniającą każdego, któryby się tamtędy przesunął. Kule zaś sypały się jak grad w to miejsce. Trzech zabiły, jednego tak jak Baudina, w samo oko. Dowódca barykady spostrzegł się nagle, że został sam z Piotrem Tissie i z 14-letniem dzieciakiem, owym, który bruka wyrywał. Trzeci atak był spodziewany, a żołnierze zaczęli się przybliżać wodłuż murów.

— Odejdźmy — rzekł dowódca.

— Ja zostanę — rzekł Piotr Tissie.

— I ja — rzekł dzieciak.

— Nie mam ani ojca ani matki — dodał — więc wszystko mi jedno.

Dowódca wypalił po raz ostatni i wymknął się dołem barykady. Kule zerwały mu kapelusz — schylił się i podniósł go, żołnierze byli już oddaleni o 25 kroków.

— Chodźcie — rzekł jeszcze do dwóch towarzyszy.

— Nie — odrzekł Piotr Tissie.

— Nie — odrzekł dzieciak.

W kilka minut potem żołnierze zakłuli bagneta- mi obydwoh.

* * *

Gwardya narodowa w unifornach, zapełniła podwórce merowstwa X okręgu. Dawny dobosz zaczął bębnić na alarm w przybocznych ulicach. Około 9 wieczór, grono złożone z 14 lub 15 ludzi, po większej części w białych bluzach, wpadło do merowstwa z okrzykiem: „Niech żyje Rzeczpospolita!“ Gwardya narodowa przyjęła ich okrzykiem: „Precz z Bonapartym!“ Pobratano się na podwórzu. Nagle ukazali się deputowani Doutre i Pelletier.

— Co robić? — pytał tłum.

— Barykady — odrzekł Pelletier.

Zaczęto bruk rozrzucać.

Wywrócono wóz przejeżdżający przypadkowo — a później z jednokonnego wózka urządzono niby parawan przed kominkiem. Resztę wypełniono byle czem.

— Barykada nie wystarcza — rzekł Doutre — potrzeba merowstwo wziąć jak w dwa szlabany, ażeby się można bronić naraz z dwóch stron.

Zbudowano więc drugą barykadę, zwróconą ku górnemu przedmieściu. Ta, słaba i niska, sklecona była z desek i z bruku.

Zaledwo sto kroków oddzielało obie barykady.

W tej przestrzeni mieściło się około 300 ludzi, z których ledwo stu miało strzelby, a większość z tych znowu, miała tylko po jednej kuli.

Strzelanie zaczęło się około 10. Dwie kompanie ukazały się, strzelając rotami. Był to atak fałszywy, — barykada źle uczyniła odpowiadając i przez to wyczerpując amunicję. Wojsko cofnęło się. Wtedy zaczął się atak prawdziwy, bo strzelcy z Vincennes wysunęli się z rogu bulwaru.

Zaczęli na sposób afrykański, — pełzać wodłuż murów, poczem w pełnym biegu, rzucili się na barykadę.

Tu niema amunicji — i niema co spodziewać się pardonu.

Ci, co nie mieli kul, odrzucili strzelby; inni chcieli zając pozycję w merowstwie, lecz niepodobna było tam się obronić, gdyż było ono otwarte ze wszystkich stron. Wdrapali się więc na mury i porozpierchali po sąsiednich domach; inni wymknęli się ku ulicy S-go Jana — ci zaś, co mieli jeszcze kulę do wystrzału, dali ostatni raz ognia z wysokości nałożonego bruku. Poczem oczekiwali śmierci. Zabito wszystkich.

Jednym z tych, który zdołał przemknąć się na

ulicę S-go Jana, — i tu osypany został gradem kul — był M. H. Coste redaktor dzienników *Avènement du Peuple* i *L'Événement*.

Był on kapitanem w gwardyi ruchomej. Na jednym z rogów ulicznych ujrzał dawnego dobosza gwardyi, który, wymknąwszy się tak jak on, chciał skorzystać z opustoszenia ulicy i pozbyć się kassy, której używał jako bębna.

— Zatrzymaj ją — krzyknął nań.

— Po co?

— Ażeby bić na alarm.

— Gdzie?

— W Batignolles.

— Zatrzymam.

Ci dwaj zdoławszy zaledwo ująć śmierci, już znowu się na nią narażali. Lecz jak tu przejść cały Paryż z takim bębmem?

Pierwszy patrol, który napotkają, rozstrzela ich.

Portyer z sąsiedniego domu widząc ich w kłopotcie, dał im płótno zgrzebne — obwinęli w nie kassę i w ten sposób bocznymi ulicami, dotarli aż do Batignolles.

Jerzy Biscarrat był tym, który dał sygnał do gwizdania na ulicy de l'Échelle.

Znałem go z roku 1848 i miałem szczęścia wraz z kilkoma innymi — mówi autor — uratować go od rozstrzelania w chwili gdy już klękał. Przywiązał się on do mnie i bywał u mnie.

Cheiałem go ochronić od zgubnych namów i dla tego udzieliłem mu takiej rady: „Nigdy nie mieszaj się w zaburzenia, tylko w obronie prawa i obowiązku“.

Opowiedzmy co się stało na ulicy de l'Échelle.

D. 2 Grudnia, Bonaparte odważył się wyjrzeć na Paryż. Paryż nie lubi, aby na niego patrzyły pewne oczy. Wydaje mu się to zniewagą, a zniewaga więcej go gnębi aniżeli rana. Zniesie morderstwo, ale nie zniesie mrugania powiek mordercy.

Jeszcze proklamacye zamachu stanu przyklepione były na murach, gdy Ludwik Bonaparte wyjechałszy z Elizeum, przejechał place Zgody, ogród Tuileryów, aż stanął na ulicy de l'Échelle. Natychmiast zrobiło się tłumno. Bonaparte ubrany był w mundur generalski; towarzyszył mu wuj Hieronim i Flahaut, trzymający się w tyle. Dawny król Westfalii miał na sobie uniform marszałka Francyi z kapeluszem o białych piórach; koń Ludwika Bonaparte wyprzedzał o łeb konia Hieronima. Ludwik Bonaparte był ponury, Hieronim baczny, Flahaut rozpromieniony. Towarzyszył im duży hufiec kirasyerów. Edgar Ney jechał tuż, tuż.

Bonaparte chciał dotrzeć aż do Ratusza. Tam znajdował się Jerzy Biscarrat. Na ulicy bruk był rozrzucony, bo układano nowy — otóż Jerzy stanął na kupie kamieni i wrzasnął: „Precz z dyktatorem, precz z pretoryanami!“ Jerzy pojął, że krzyk jego był zbyt literackim, więc go też nie zrozumiano i dla tego powtórzył: „Precz z Bonapartym, precz z hulaniem!“

Okrzyk oddziaływał elektrycznie. — „Precz z Bonapartym!“ powtórzył tłum z całą potęgą wrzasku, który wydawał się groźnym jak egzekucya, bo uzurpator zwrócił się nagle na prawo i popędził w stronę Luwru.

Jerzy Biscarrat zrozumiał, że wygwizdanie potrzeba wzmocnić barykadą, rzekł więc do księgarza Mouilhe, który otworzył swój sklep: „Dobrze jest krzyczeć, ale lepiej działać“. Powrócił więc do siebie, przywdział bluzę i zeszedł w ciemne ulice.

Przed zmierzchem porozumiał się już z czterema stowarzyszeniami.

Dzień 3 Grudnia zeszedł mu prawie na niczem, jak się sam wyraził.

Czwartego Grudnia... Biscarrat wraz z 230 drukarzami z narażeniem życia, wydrukował proklamacye oporu, poczem rzekł do Versigny'ego: „Teraz potrzeba mi barykady“.

Wyszedł z nim razem. Po drodze zrekrutował 50 gotowych do walki. — Chapius, sierżant gwardyi narodowej, przyniósł mu 4 karabiny. — Wiesz pewnie gdzie są i inne? — zapytał Biscarrat. — Wiem, w łaźniach Saint-Sauveur.

Poszli tam i znaleźli 40 strzelb. „Panowie“ elegancko ubrani, nieśli za nimi skrzynki z prochem i z kulami. Przy pierwszej bramie, dotykającej ulicy Hasard-Saint-Sauveur, zabrali z podwórza ślusarza, żelazne sztaby i młoty.

Mając broń zwabili i ludzi. Odrazu stu. Zaczęto bruk rozrzucać; wybiła godzina wpół do jedenastej. — Prędko, prędko! — barykado moich marzeń! — krzyczał Jerzy Biscarrat.

Było to na ulicy Thévenot.

Zasztabowanie sporządzono wysokie i straszne. O jedenastej Jerzy Biscarrat ukończył swoją barykadę. W południe już był zabity.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Liczną falangę koncertów dzielimy na dwie serye. O pierwszej wspomnimy dziś, o drugiej w następnym numerze.

Koncert złożony wyłącznie z utworów ś. p. Moniuszki, dany w salach Redutowych, szwankował z powodu braku orkiestry. Zamierzone wystawienie *Sonetów krymskich*, dla uniknięcia kosztów orkiestrowych, wstrzymanem zostało, z wielką szkoda dla wszystkich. Zbyt mało słyszane to dzieło, byłoby niezawodnie ściągnęło tłumy do sali, która teraz niekoniecznie była przepełnioną. Lecz i bez orkiestry, układając programat, można było, jak sądzę, wybrać utwory mniej ośpiewane. Prócz jednej *Litanii ostrobramskiej*, wykonanej błado i bez cieniowania, wszystkie inne utwory zbyt już często, ostatnieri czasy właśnie, ukazywały się na estradzie. Dzięki współdziałowi wybornych artystów, wykonanie solowych ustępów było prawie bez wyjątku, doskonałe; z sił amatorskich szczególnie uwydatnić wypada pana Dziadulewicza, który sympatycznym głosem basowym i prawdziwym uczuciem w śpiewie zjednał sobie już oddawna uznanie muzykalnego ogółu. Przedewszystkiem zasługuje na pochwałę wykonanie tylokrotnie ośpiewanego *Maćka*, którego inni zwykle śpiewają ze zbyt mocnym i trywialnym akcentowaniem, gdy tymczasem p. Dziadulewicz, z przedziwnym artystycznym taktem, umiał nadać mu urok prawdziwej poezyi, przedstawiając w osobie nieszczęsnego bohatera tej pieśni, nie jakiegoś dzikiego szaleńca, ale kochającego a przytłoczonego ciężarem życia człowieka. Rozpacz rzadko tu uderzała w struny fortissime; częściej słyhać było tłumione łzy i cichy szepc zniekania.

Po dwuletniem oczekiwaniu, usłyszeliśmy znów dwukrotnie panią Essipow. Wrażenie i tym razem pozostało wielkie, w niektórych nawet punktach odmienne od poprzedniego, i dlatego warto je kilku wyrazami scharakteryzować. O mechanizmie już nie może być mowy. Pani Essipow pod względem technicznym, przedstawiać może prawdziwe studyum dla zajmujących się nauką fortepianu — jej ręka funkcjonuje idealnie, układ jej jest wzorowy i w najwyższym stopniu estetyczny — przedziwna lekkość i sprężystość tej ręki jest isticie fenomenalną. Pod względem duchowym zdało nam się dostrzedz tę zmianę, jaka się zdarza u niektórych artystek scenicznych, które, grając zrazu role naiwne, przenoszą się stopniowo i nieznacznie do ról głębszych, zachowując niejedną z przymiotów swoich,

tylko mu nadając trochę odmienny charakter. Wdzięk gry p. Essipow nie jest już dziś owem figlarnem, prawie dziecinnie naiwnem igraniem z rytмами; artystka dojrzała myślą, trwalszych też pragnie laurów; jakoż zdołała teraz wtajemniczyć się już ściślej w ducha dzieł Szopenowskich.

Przechodząc do szczegółów, muszę najpierw odróżnić grę artystki na obu koncertach. Na pierwszym koncercie, w Teatrze, p. Essipow była widocznie znużoną, czy cierpiącą; odbijało się to naprzód w układzie programatu, następnie w zbyt pobieżnym i nawet gorączkowem nieraz szkicowaniu przedmiotów (np. w preludium Szopena z tonu *des*, środkowe *accelerando* odebrało mu cały charakter). Jeden tylko koncert St. Saënsa grały był znakomicie; lubo i tu w pierwszym Allegro były ustępy, które autor traktował z większą powagą i spokojem. Na drugim koncercie, w Resursie Obywatelskiej, artystka była w przewybornem usposobieniu. Pomijając Beethovena i Schumanna, zaznaczmy właśnie, że tego wieczora Szopen wyszedł wybornie. Pamiętamy, że dawniej w większych dziełach Szopena (*Ballady*, *Scherza*) zawsze nam czegoś brakło (wyjąwszy koncertu *E moll*, który grała pani Essipow prześlicznie); było to pięknie zagrane, ale nadto salonowe i banalne. Teraz było inaczej; usłyszeliśmy naprzód balladę *as dur*, oddeklamowaną przewybornie, z wielkiem uczuciem i z niekłamany przy końcu zapałem. Było nawet takich parę taktów, w których żądaliśmy chwilowego powstrzymania tego wybuchu siły. Mianowicie przy końcu, gdy po ustępie w *cis moll* (*fortissimo*) temat igrający przechodzi przez tonacye *e dur* i *f dur*, lepiej go było zacząć piano, aby przez *crescendo* wznieść się do wybuchu mocnego w *as dur*. Impromptu z tonu *ges dur* wykonane było prześlicznie, równie jak i etiuda *f dur*. Ciekawem dziełem, nie grywanem nigdy na koncertach, był polonez *op. 61* (Pol. *Fantaisie*). Co Szopen chciał w tem dziele przedstawić, wiedzą doskonale ci, co z ust jego uczniów te legendę słyszeli. Pani Essipow oddała wybornie, i ten wspaniały początek, i smętne późniejsze jęki i narzekania, i podziemny nurtujący temat, i walnę, jaką on stacza z tematem głównym, i tryumfalny wybuch jego przy końcu. Wszakże zaprzeczycie niepodobna, że w tej kompozycyi obsłona materyalna nie dość odpowiada idei przewodniej; znać w tem dziele wysiłek jej niema tej w niem *prawdy* natchnienia, jaką gdzieindziej znajdujemy. Oprócz tego grała artystka parę drobniejszych: *Chant polonais*, *Walczyka*, oraz *Mazurka* trochę przerobionego — co prawda niezbyt potrzebnie.

W panu Auerze, który dawał pierwszy koncert w Teatrze, poznaliśmy wybornego skrzypka. Ton gry jego niewielki, lecz okrągły i szlachetny, mechanizm nieposzlakowany i znakomity. Gra to słodka i spokojna, niemająca dość siły, by imponować orkiestrze, ale doskonale nadająca się do wykonywania kwartetów Mozarta i początkowych Beethovena. Kompozycye, które nam przedstawił p. Auer, interesowały nowością; szczególniejsze zajęcie obudziła symfonia hiszpańska *Lalo*, dzieło pełne świeżości i wybornie instrumentowane.

Jan Kleczyński.

Od Redakcyi.

Przekład powieści p. t.: *Zamek Daly* w Dodatku do „Bluszezu“, w dalszym ciągu drukowanym będzie.

TREŚĆ. Zadania moralne, (dalszy ciąg), przez Bolesława Chlebowskiego. — Sąsiedzi, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Nowiny paryżkie. — Przegląd teatralny, przez Edwarda Lubowskiego. — Historia zbrodni, W. Hugo, przełożył Edward Lubowski. — Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Марта 1878 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.